

Zbigniew Szumowski

Bitwy budziszynskiej akt pierwszy

Z walk 2 armii Ludowego Wojska Polskiego

Polacy w marszu na Berlin — tak oto zatytułował nadworny fotograf „fuehrera” — Hoffmann, zdjęcie kolumny polskich jeńców, wykonane we wrześniu 1939 roku. Lecz w kwietniu 1945 roku — sztychlerstwo się sprawdziło.

Nad Odrą gotowała się do udziału w berlińskiej operacji 1 Armia Ludowego Wojska Polskiego, wchodząca w skład sił 1 Frontu Białoruskiego Marszałka Żukowa. Znana już Niemcom z walk nad Wisłą, o Wał Pomorski, o wybrzeża Bałtyku.

Ponadto zaś nad Nysą, wśród wojsk 1 Frontu Ukraińskiego, marszałka Koniewa, wywiad hitlerowski ustalił także obecność 2 Armii Polskiej, sformowanej już na wyzwolonych ziemiach Polski.

Jak napisze, wspominając rok 1945, marszałek Koniew:

„Skoro tylko przed rozpoczęciem operacji berlińskiej, Polacy, zmieniwszy część sił 13 Armii, zaczęli zajmować przednie transeje — rozmieszczone naprzeciwko wojsk niemieckich, w tym SS-mańskich, wprost rozciągały się, nie żałując zacieklonych wykrzykiwań przez rzekę i wszelkiego rodzaju pogroźki. Najwidoczniej, nie mogli pogodzić się z tym, że ci sami Polacy, których przez sześć lat chcieli uważać za polknięta już zdobywcę, za naród podbity — nacierają teraz na Berlin.”

Rzeczywiście, nie mogli, o czym świadczy choćby apel Gauleitera „Reichsgau Sachsen” do „Volkssturmu”:

„Tylko walcząc jak furie, bezlitośnie niszczyć każdego bez wyjątku wroga, nie tylko zdolamy zalać nawałę wschodniej dziedziny, zagrażającej kulturze europejskiej, ale zarazem spełnimy nasz święty obowiązek: bezwzględnej rozprawy z każdym Polakiem, który odważy się podnieść rękę na Niemcy. (...) Pamiętajcie, iż to polska bezczelność i zachłanność wciągnęła cały świat w otchłań wojny. Nie zapomnijcie niemieckich rodaków (Deutsche Volksgenossen), pomordowanych bestialsko w Bydgoszczy, Poznaniu, Warszawie. Nie pozwólcie zbrodni, stojącej przeciwko nam, bolszewickiego 2 Legionu Polskiego, na pohanie, choćby pieczę ziemi, przedpola umęczonego Drezna.”

Tylko że zadania jakie przypadły obu polskim armiom w ramach ogólnych działań operacji berlińskiej, niesprowadzały się wyłącznie do prowadzenia natarcia ku Łabie.

Każdy powiat ma swoją wzorową wieś, a w niej przodujących rolników, do których posyła się wszelkiego rodzaju delegacje. W Gnieźnieńskim taką wsią jest Karszewo — nieduże, liczące 24 zagrody. Jedną z nich należy do Mariana Piątki. Niedawno odwiedziła go ekipa jugosłowiańskiej telewizji. Nie pierwszy to zresztą u Piątków goście z obcych krajów. W roku 1962 gościli u nich Francuzi. Nie wiadomo, czy chodzili im o zobaczenie gospodarstwa reklamowanego jako jedno z najlepszych w okolicy, czy też dowiedzieli się, że jego właściciele spędzili nad Sekwaną kawał życia, zaś młodsza gospodyni jest... rodowitą Paryżanką.

Z wizyty tej najbardziej zadowolona była babcia Gałczykowska. Bo oto ni stąd ni zowąd zjawili się goście, którzy odnowili wspomnienia jej młodości. Jadwiga i Jan Gałczykowie spędzili bowiem we Francji 10 lat, dokąd udali się w poszukiwaniu pracy i chleba. W Paryżu urodziła się ich jedyna córka — żona Mariana Piątki.

Dziadkowi nie dopisuje już zdrowie, zawodzi też i pamięć. Natomiast babcia Jadwiga pełna jest wigoru i z wyraźną przyjemnością wspomina lata wielkiej przygody w wiosnie swego życia.

Oto rok 1923. Kraj pogrążony w powojennym chaosie. Brak pracy, ziemi, perspektyw. W setkach punktów werbunkowych, rozsiadanych po Polsce, cisną się tłumy kandydatów na emigrantów do Francji, która potrzebowała wówczas rąk do pracy. W tym wielkim ludzkim mrowisku znalazła się również 17-letnia wiejska dziewczyna. Była jednak za młoda i nie dość wyrośnięta, więc komisja kwalifikacyjna odprawiła ją z kwitkiem do domu. Jadzia jednak nie rezygnuje. W przebraniu próbuje szczęścia po raz drugi. Również bezskutecznie. Wędruje więc do innego punktu. W trzewikach na wysokich obcasach, podając nieprawdziwą datę urodzenia, przedostaje się wreszcie do grupy „szczęśliwców”. A potem pracuje w różnych miasteczkach Francji jako służąca, kuchenna, wreszcie hotelarka. Mówi, że było jej tam bardzo dobrze i „wszyscy ją uważali”.

Tam poznaje swego przyszłego męża, również emigranta. Jan Gałczyk miał dobry fach, był murarzem, znał się też na kamieniarce. Zarabiał więc dobrze. Po pewnym czasie pobrali się i zamieszkali w Paryżu. Zarobki i napiwki Jadzi starczyły na mieszkanie i wyżywienie. Jan odkładał z uporem pieniądze na kupno ziemi w kraju. Bo choć Francja piękna, ożywczy kraj wydawał mu się najpiękniejszy pod słońcem.

W roku 1932 powrócili z zarobionymi frankami, za które nabyli w Karszewie 13-hektarowe gospodarstwo. Niebawem dały się im we znaki wszystkie niedze wielkiego kryzysu, a potem trwała szara egzystencja lat następnych. Nieraz też żalowali, że opuścili Francję, gdzie szczęśliwie spędzili lata młodości.

W czasie okupacji Gałczykowie podzielili los tysięcy rodzin wielkopolskich. Starzy wywiezieni

zostali w Lubelskie, a ich jedynaczka na roboty do Niemiec. Tam właśnie poznała obecnego męża. Marian Piątek, pracując u bauera, choć w skórę dostawał nie zasypiał gruszek w popiele. Podglądał metody Niemca w uprawie i hodowli. Gdy więc po wojnie znalazł się w domu Gałczyków, wziął od razu ostry kurs na... reorganizację. Starał się przekonać teścia, że pracując po staremu, niczego się nie zazna prócz harówki.

Nielatwo jednak zmienić myślenie i narosłe przez lata życia nawyki. Doszło do konfliktu między zięciem i teściem. W roku 1947 Marian Piątek opuszcza Karszewo i wyjeżdża do Wałbrzycha. W ślad za nim podążyła jego małżonka. Przez parę lat Piątek pracował jako palacz w wałbrzyskiej elektrowni.

Teściom wiodło się nie tego. Wkrótce gospodarstwo trzeba było po prostu ratować od ruiny. W roku 1950 Piątkowie wrócili do Karsewa. Tym

Feliks Biłós

TA WIEŚ KARSEWO SIĘ NAZYWA

razem stary Gałczyk, który do dziś jest prawnym właścicielem gospodarstwa, dał zięciowi wolną rękę.

Oglądając obecny dobytek Piątków, wcale się nie dziwiłem wścibskiemu koledze po fachu z jugosłowiańskiej telewizji, o którym tak opowiada nasz gospodarz:

— Gdy operator nakręcił już do syta zdjęć w domu, zagrodzie, oborze, chlewni, wówczas poprosił by mu pokazać zapas paszy, potrzebny dla wyżywienia tak licznej inwentarza. Po prostu uważał, że ktoś próbuje go nabrać. Nie mieściło mu się bowiem w głowie, że na trzynastu hektarach, w dodatku bez kawałka łąki, można hodować kilkanaście sztuk bydła, że w ciągu roku opuszcza chlewnię blisko setka bekonów. Włec wtykał ręce i nos w sterty koniczyzny i lucerny sprawdzając, czy w środku nie kryje się... słoma; zaglądał do silosów z kiszonką, z buraczkami wytłokami, do spichrza z ziarnem i mieszanekami paszowymi. Wszystko to przeliczał na hodowlane sztuki, kombinował i wówczas dopiero wierzył, że to nie lipa...

Duma Piątki jest jednak chlewnia. Po obydwu stronach wybetonowanego przejścia — szereg

kojców, a w nich pochrzaskujące warchlaki, bekony, macyory.

Próbuję liczyć stado, ale gospodarz mówi, że to stan nietypowy. W styczniu i lutym sprzedał bowiem 60 bekonów; 27 pójdzie na spód w tym i następnym miesiącu. Dwie macyory powinny wkrótce pomnożyć trzodę o 20 kilka sztuk.

W tradycyjnym układzie organizacji pracy gospodarstwa chłopskiego, potrzeba by do obsługi tak licznej inwentarza kilka osób. Ale Piątek wykombinował coś w rodzaju małej mechanizacji. Nawóz usuwa z obory przy pomocy zaprojektowanej przez siebie suwnicy z podwieszanym pojemnikiem-wywrotką. Wszystko tu pomyślane w ten sposób, żeby bez potrzeby nie nadwierać sił, nie tracić czasu.

Posiadając komplet maszyn i narzędzi oraz własny traktor, daje sobie z pomocą żony doskonałe rade. Znajduje jeszcze czas na fachową książkę i czasopisma. Bo bez tego — jak mówi — nie wyobraża sobie podażania za postępem agrotechniki. Dzieci — córka i syn chodzą do szkół średnich. Wprawdzie chłopak uczy się w „ogólniaku”, ale Piątek jest niemal pewny, że po maturze, a może po wyższych studiach rolniczych przejmie gospodarstwo.

W Karszewie nie byłaby to zresztą żadna nowina, bo młodzież chętnie uczy się zawodu rolnika. Taki np. Zygmunt Żółtowski, po skończonym Technikum Rolniczym, dokonuje u siebie dużych rzeczy, nie jedną nowosć wprowadzając za jego przykładem inni gospodarze. Bo rolnicy karszewscy prowadzą między sobą zaciętą rywalizację o miano najlepszego. Dziewięciu z nich to członkowie partii, pozostali — zeteselowcy. Użyłowanie 35—40 kwintali pszenicy z hektara nie jest tu sensacją, a 73 sztuki bydła i 136 trzody chlewnej na 100 ha użytków rolnych — mówią same za siebie. Jeśli więc Piątek w danym roku zostaje rekordzistą w plonach pszenicy, to Gospodarek, lub Kneblewski, pobiją go w burakach, zaś Paprocki albo Rzepka — w ziemniakach lub jęczmieniu. Tylko trzech maruderów ciągnie w dół wiejskie wskaźniki, czego karszewiaczy nie mogą im wybaczyć.

Tutejsi gospodarze po prostu odwykli od tradycyjnej orki czy košby. Prywatny sprzęt rolników uzupełniają maszyny i narzędzia Kołka Rolniczego.

✱

Teraz, w roku 1966, takich wsi jak Karszewo można znaleźć przynajmniej po kilka w każdym powiecie. Nie mało też spotkać można w Wielkopolsce rodzin, których życie i losy były podobne do rodziny Piątków lub Gałczyków. Dlatego po każdym powrocie z reporterskiej wędrowki przychodzą mi na myśl stereotypowe rysunki, na których rolnik występuje na ogół z wosem i batem za cholewą, a wiejska gospodyni w chustce na głowie i trebach. Karszewo i dziesiątki innych wsi takiego schematu na pewno nie potwierdzają.

Mariusz Olszewski

Jaki był Mieszko?

Przywiązanie do dziejów państwa jest istotnym składnikiem świadomości narodowej. Każde pokolenie wyciąga z przeszłości przede wszystkim te wnioski, które pomóc mogą w rozwiązywaniu aktualnych zadań polityki wewnętrznej i zagranicznej. Jednakże taka postawa wobec narodowych dziejów jest uprawnia tylko wówczas, gdy łączy się z szacunkiem do prawdy historycznej, gdy nie wypływa z lekceważenia historii.

W czasie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, proklamowanych osiem lat temu na uroczystym posiedzeniu Sejmu, przedstawiciele władz państwowych i historycy dokonali wielkiej pracy, by pchnąć naprzód naszą wiedzę historyczną, by dobrze poznać procesy dziejowe. Elementarny obowiązek wobec prawdy wymaga, aby ten ogromny dorobek wykorzystywał każdy, kto zabiera dziś głos na tematy historyczne, kto z przeszłości wyciągać chce ważne i dziś wnioski.

Okazało się jednak, że są tacy, którzy ten dorobek historyków i archeologów lekceważą. Już w 1961 r. w opublikowanym zbiorze kazań i przemówień kardynała Wyszyńskiego pt. „W światłach tysiąclecia” można było przeczytać następujące słowa:

„Ale w przede dniu Tysiąclecia nie jest najważniejszą sprawą wyliczanie (...) dziejowych elementów przeszłości. Chociaż trudno jest święcić Tysiąclecie bez wspomnień historycznych, to jednak te wspomnienia nie są najdonioślejszą rzeczą (...)

I dlatego Milenium Chrześcijaństwa Polski jest w programie jubileuszowym Kościoła skierowane przede wszystkim ku przyszłości Polski chrześcijańskiej”.

Nie dziwne, że przy takim stosunku do przeszłości narodu, fakty z dziejów Polski traktowane są przez kardynała Wyszyńskiego tylko marginesowo, że korzystali z nich autorzy oredzia do biskupów niemieckich jedynie wtedy, gdy potwierdzać miały ich dzisiejsze koncepcje polityczne.

Jednego tylko historyka uznali autorzy oredzia za godnego swej uwagi — reakcyjnego emigranta Oskara Haleckiego. Nie przeszkadzało im to, że w jego „Historii Polski” wydanej w języku niemieckim w NRF nasze ziemie zachodnie zostały przedstawione na mapie nie jako polskie obszary, lecz jako terytoria pod tymczasową polską administracją. Ważniejsze dla nich jest to, że Oskar Halecki hołduje koncepcjom Polski jako przedmurza przeciwko wschodowi. Jest to koncepcja nie tylko reakcyjna, jest ona fałszywa historycznie. Polska powstawała jako bastion chroniący słowiańszczyznę przed germańskim naporem przed najazdami z zachodu. Gdy obchodzając Tysiąclecie wspominamy wielką postać Mieszka I, to przede wszystkim dlatego, że uczynił on nasz kraj silnym organizmem zdolnym do obrony przed naporem feudałów niemieckich.

Optycznie „znamy” go tylko z imaginacyjnych portretów. Przede wszystkim z matejkowskiego — otwierającego popularny „poczet królów polskich”. Gdyby jednak dziewiętnastowieczny mistrz posłużył się innym modelem, inne rysy, inna postura kojarzyłaby się nam z osobą dziesięciowiecznego władcy Polski.

Ba, choć powszechnie wiemy go „Mieszko” — nawet to imię jest przedmiotem dociekliwych sporów historyków i językoznawców. Nie wiemy też, kiedy się urodził, kiedy „wstał na tron”, lub na ile lat przed chrztem wziął za żonę czeską księżniczkę zwaną przez nas Dąbrówką...

Pierwsza bezsporna merytoryczna informacja o nim, dotyczy roku 963. Mieszko jest już w sile wieku. Wszystkie następne, z ostatnich jego 30 lat życia, też nie pozwalają — choć jest ich nie mało — na pełne przedstawienie jego biografii. Odnosząc się do czynów, domysłom pozostawiamy m. in. ich motywację. Wystarczy ich wskazać, by z logiki czynów politycznych Mieszka, jak również opinii o nim współczesnych (nawet niechętnych mu (kronikarzy) uznać go za wybitnego realizatora programu tworzenia silnego państwa.

Oto pierwsze informacje o tym państwie, pochodzące sprzed dokładnie tysiąca lat, zawdzięczane relacji Ibrahima Ibn Jakuba. („Z podróży do krajów Słowiańskich”) w przekazie Al-Bekriego z około 973 roku).

Ludowe
pisanki
i
kraszanki



Fellini znów przy pracy

Jak slychać, po porażce swego ostatniego filmu „Giulietta i duchy”, Fellini zamierza powrócić do aktualnej tematyki społecznej.

Aby spotkać się z Fellinim nie trzeba było tym razem umawiać się telefonicznie — pisze współpracownik „Paese Sera”. Jako przepustka służyło ogłoszenie zamieszczone w gazetach rzymskich: „Wszyscy chętni (oprócz dzieci) mogą przyjść od 17 do 19.30 do biura filmowego na Via Nazionale 36. Należy przynieść ze sobą fotografię”. Fellini zamierza „umieścić na orbicie filmowej” nowych aktorów.

Ostateczną decyzję w sprawie zaangażowania podejmie, kiedy prześlą zdjęcie zakończony — mówi Fellini. — Rozmowa toczy się w jego gabinecie, podczas gdy w sąsiednim pokoju defilują przed wielkim stołem młodzienicy i dziewczęta z wszystkich dzielnic Rzymu.

Mój nowy film mieć będzie tylko jednego głównego bohatera — mężczyznę. Być może zagra go Marcello Mastroianni, jeżeli nie przeszkodzi mu praca w teatrze. Nazwisko Mastroianni nie odgrywa tu jednak decydującego znaczenia. W rolach kobiecych wystąpią same debutantki.

Jaki będzie tytuł filmu?

Nie wiem, nie pomyślałem jeszcze o tytule. Gdybym go już miał, znacznie łatwiej byłoby mi konstruować fabułę.

Nie jest to pierwszy przypadek, kiedy Fellini rozpoczyna pracę nad filmem nie napisawszy nawet jednego wiersza scenariusza. Pod koniec rozmowy z nim udaje się jednak ustalić co następuje: 1) film zrealizowany będzie w Rzymie i wejdą doń epizody, które nakręcone zostaną w Nowym Jorku, Amsterdamie, Kolonii, a być może — w jednym z miast Grecji, 2) film będzie opowiadał o życiu całego miasta.

Wybrałem Rzym — stwierdza Fellini — dlatego, że dobrze go znam, z równym powodzeniem mogłoby to być inne wielkie miasto, np. Nowy Jork czy Paryż. Będę filmować na tasmie czarno-białej, a oprawę muzyczną przygotowuje Nino Rota.

Kiedy zaczyna krążyć wokół mnie tłum ludzi — mówi Fellini — wydaje mi się, że już rozpoczęła się prawdziwa praca. Niestety, to tylko wrażenie: to tak jakby ruszać w podróż po ciemnym korytarzu, że szyny ułożone są tylko na odcinku 50 metrów... (PAP)

„Zołnierze polegli w pierwszym dniu wojny 1 września 1939 roku, od kuli najeźdźców niemieckich. Grób ich jest zaniedbany, nikt się nim nie opiekuje. Zajmiemy się my”. Podpisano: Drużyna harcerska im. Stefana Czarnieckiego przy Szkole Podstawowej w Skrzyszewie pow. Wodzisław Śląski woj. katowickie...

„... 1 września 1939 roku w bramie domu, w którym mieściła się Komenda Chorągwi Harcerzy w W. M. Gdańsku, znaleziono Jana Ożdyńskiego, harcmistrza, namiestnika zuchowego Komendy. Nie żył. Zanim jeszcze pierwsze pociski padły na Westerplatte, zanim runęły bomby na Hel, Gdynię, Warszawę, zamordowany został harcerz gdański, pierwszy poległy drugiej wojny światowej. Trzeba wmurować tablicę pamiątkową, przy wejściu do obecnego gmachu Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych”. I podpis: Drużyna Harcerska im. Andrzeja Małkowskiego przy Szkole Podstawowej nr 24 w Gdańsku.

„Dnia 22 stycznia 1945 roku na prawym brzegu Warty stanęły oddziały wojsk radzieckich, w których byli także Polacy. Zbudowano dwa mosty. W czasie przeprawy wojsk przez rzekę nadleciały samoloty nie mieckie, które rozpoczęły atak. Żołnierzy poległych w czasie przeprawy przez Wartę pochowano w pobliskim lesie. Grób jest zaniedbany. Na drzewie widać napis: „Za wolność Polski”... — Drużyna Harcerska im. Marii Curie-Skłodowskiej przy Szkole Podstawowej nr 4 w Luboniu, pow. Poznań.

Padają wtedy, czy dzień był słoneczny? Trudno przypomnieć sobie dzisiaj. Ale wśród uczestników pamiętnego alertu wiosennego, zorganizowanego równo rok temu i noszącego nazwę Alertu Zwycięstwa nie stracili jeszcze swej barwy tamte wiosenne dni.

„Słizmy — wie pani — z dziećmi — kłami przez jakąś wieś”. Drużynowy patrzy na jeszcze szare gałęzie, widoczne przez okno siedziby Komendy ZHP. „To była taka wiosenna pogoda: trochę słońca — trochę deszczu. Pewnie było chłodno. Wstąpiliśmy do jednego z domów po nasz „wywiad”. No i opowiadali, a jakże; nawet ktoś tam pobiegł po sąsiada, który to niby lepiej pamiętał. Ale poza tym uraczyli nas — zupełnie nieoficjalną i zupełnie przez nas nieoczekiwaną — gorącą herbatą. Pewnie, dzisiaj to już niby nic nie znaczący, kurtuazyjny gest. Ale wtedy... No po prostu widać było, że i dla nas i dla nich, te kwestie, o których mamy rozmawiać, to jakieś niezmiernie żywe, bliskie nam sprawy. My już z naszych założeń organizacyjnych wiedzieliśmy o tym, że alert ma znacze-

Wanda Chi'a

ALERT TRWA

Harcerze na szlakach historii

nie nie tylko historyczne. Oni to pewnie tylko czuli. Chcieli, żeby ta nieutrwalona jeszcze przecież i ciągle jeszcze problematyczna więź pomiędzy starym a nowym światem — utrwała się w jakiś sposób — również dzięki naszej rozmowie. Żeby to było jeszcze jedno istotne spośdło pomostu łączącego ich z nami. No bo jakże budować coś nowego, bez takiego pomostu?”

Ten alert miał oczywiście przede wszystkim to na względzie, aby utrwalić w pamięci społeczeństwa — głównie zaś młodzieży — miejsca, naznaczone na kartach nie spisanej jeszcze dokładnie historii walk okupacyjnych i wyzwolńczych ostatniej wojny”. Druh Wacek Sokołowski, skonstruowany nieco sytuacją, w której — po całym, okrągłym roku — każemy mu wracać do tamtej wiosennej przygody, stara się teraz przede wszystkim przywołać w pamięci jak najwięcej konkretności. Żeby przypadkiem nie wyglądało na to, że w kronikach (sprawozdaniach?) Komendy nie ma śladu. Ale czy tylko o te konkrety chodzi i czy właśnie one są najważniejsze? Wezmę tu sobie za sojuszników autorów warszawskiego wydawnictwa pt. „Na szlakach walk”, opublikowanego staraniem Wydawnictwa Harcerskiego w 1965 roku. Piszą oni m. in.: „Najtrudniejszą uszkie, choć najtrudniejszą do określenia jest pewna wartość (alertu — dop. nasz) nieuchwytna, choć rzeczywista — zdobyć serc i umysłów młodzieży. Trzeba wczuwać się w te tysięczne stopy meldunków, dostrzegając niedokładność relacji i nieporadność stylu, trzeba dotrzeć aż do pokładu serdeczności, współczucia i głębokiego, patriotycznego zaangażowania — aż do radości w opisywaniu nowej szkoły... — u dzieci — uczestników alertu, aby w pełni odkryć i ocenić jego wartość”.

Druh Wacek jest jednak rzeczowy. Ściąga do naszej rozmowy komendanta hufca ze Starego Miasta, który sam taki alertowy zwiad prowadził. — „Opowiadaj”. „Zgodnie z rozkazem komendanta, druha komendancie, zajęliśmy się najbliższą okolicą szkoły. Akurat — Cytadela, bo moja szkoła mieści się przy ul. Stalingradzkiej — nr 66 proszę pani — zwraca się do mnie. „Cóż? Znane, otoczone opieką miejsce wielu uroczystych spotkań ludności mia-

sta. Ale myśmy wybrnęli z honorem: postanowiliśmy sporządzić szkie tras, wiodących do Cytadeli od dworca głównego i dworca autobusowego. To się chyba przyda wycieczkom, np. młodzieżowym. No a poza tym fantastycznie udało nam się drugie zadanie alertowe: zaznajomienie młodzieży z obiektami, zbudowanymi w naszym 20-leciu i projektami ich dalszej rozbudowy. Tu już nie trzeba było odwoływać się do wyobraźni i nastroju. Każdy chłopiec, każda dziewczynka ciekawa jest tego, co ogląda na własne oczy. Zna pani to przecież: Co to jest? A co to się robi? A po co? I zakłady pracy i rady narodowe dorównały tu życzliwością ZBoWiD-owi i wojsku. W tym dniu — były do naszej dyspozycji”.

„Tak właśnie to oceniamy” — mówi kierownik alertu 65, z-ca komendanta Chorągwi W. Sokołowski — „To była pierwsza wielka powszechna rozmowa harcerzy z całym społeczeństwem. Bo przecież nie szliśmy wtedy akurat do rad czy dyrekcji zakładu; chyba w przypadku projektu towarzyszącego spotkaniu. Powszechnie rozmawialiśmy z ludnością — przede wszystkim ludnością małych miasteczek i wsi i razem z nimi wertowaliśmy kartki historii, która dla nich jest wspomnieniem — dla nas

lekcją. Tym cenniejszą — że lekcja własnych doświadczeń, własnych wzruszeń nad odnalezioną, zapomnianą mogiłą”. Druh Wacek jest rzeczowy.

— „U nas w Wielkopolsce — w alertcie udział wzięło ponad 85 proc. młodzieży zrzeszonej w ZHP. Zajęliśmy 1 miejsce w kraju. Znaleźliśmy ponad 80 nieznanych dotąd, nieupamiętnionych przez nikogo miejsc, straceń, miejsc bohaterstwa, męczeństwa. A czy nasza praca przyniosła jakieś wyniki? Ależ wystarczy każda okazja — rocznica, święto narodowe... Harcerze zawsze są wtedy w tych miejscach. Zaciągają warty. Składają kwiaty. To jest jakby kontynuacja alertu. Tak samo jak przybieranie imion „odkrytych” bohaterów XX-lecia przez nowo powstające drużyny. Tak samo jak nowa odznaka „Opiekuna miejsc pamięci narodowej”, której regulamin będzie gotowy na 22 lipca br. A o tym co „w sercach i umysłach” zostało trochę trudniej mówić...”

Ktoś powiedział, że dzieci są najczulszym, najwrażliwszym widzem. Chyba przez ten szczególny, alertowy spektakl nie przeszły obojętne, zwłaszcza, że same odegrały w nim wcale nie epizodyczną rolę.

Jaki był Mieszko?

Dokończenie ze str. 1

„Dzielnicy Słowian ciągną się od morza syryjskiego ku oceanu ku północy... I mają teraz czterech królów: król Bułgarów i Bolesław, król Pragi, Czech i Krakowa, i Mieszko król północy, i Nakon na krańcowym zachodzie...”

... Co zaś dotyczy ziemi Mieszkowej, to największa ona z ich ziem (tj. słowiańskich). Ona obfituje w zboże i mięso i miód i ryby. I ma on (Mieszko) trzy tysiące pancerników a są to wojownicy, których sęciną równa są dziesięciu sęcinom innych. I daje on tym ludziom odzież i konie i oręż i wszystko, czego potrzebują. I graniczą z Mieszką na wschodzie Ruś a na północy Prusy.

Na ogół biorąc to Słowianie są skorzy do zaczepki i gwałtowni i gdyby nie ich niezgoda wywołana mnogością rozwidleń ich gałęzi i podziału na szczepy, żaden lud nie zdołałby im sprostać w sile. Zamieszkuje oni krainy najbogatsze w obszarze podatne do zamieszkania i najzasobniejsze w środki żywności. Odnaczają się szczególnie gorliwością rolnictwa i poszukiwaniem środków do życia, w czym przewyższają wszystkie ludy północy...” (tłum. Tadeusza Kowalskiego. Monumenta Poloniae Historica. Seria II, Tom I, Kraków 1946, str. 50).

Warto zwrócić uwagę zwłaszcza na jedno zdanie owej relacji. Bynajmniej nie „neutralne”.

„Gdyby nie ich niezgoda wywołana mnogością rozwidleń ich gałęzi i podziału na szczepy, żaden lud nie zdołałby im sprostać w sile”.

Czyżby ta nie wolna od nutki ubolewania refleksja wyrażona bezpośrednio po danych na temat stanu „ziemi Mieszkowej” jako największym już z państw słowiańskich — odzwierciedlała kwintesencję politycznego programu tego władcy?

W każdym razie znana nam już działalność polityczna Mieszki, jest wyrazem świadomego dążenia do scalenia możliwie jak największych ilości ziem słowiańskich w jeden, możliwie najtrwalszy, nowoczesny jak na ówczesne czasy organizm państwowy.

Proces scalania nie został oczywiście zapoczątkowany przez Mieszkę. Trwał już za jego poprzedników, zwłaszcza że sprzyjały mu obiektywne warunki: ciążenie ku sobie znacznych terytoriów o powiązaniach geograficzno-gospodarczych; mających za sobą podobny rozwój społeczny, bliskich kulturalnie, etnicznie i językowo. Częstokroć być może występowała zgodność mochnych, danego obszaru z książętami Polan co do zasad polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Już uprzednio więc dochodzi do objęcia państwem Polan obszaru gnieźnieńsko-poznańskiego, kruszwickiego i kaliskiego. Potem — do przyłączenia doń kraju pomiędzy górną Wartą a Pilicą oraz górną Bzurą, oraz Mazowsza i Pomorza Gdańskiego.

Alert rzecz znaną — już ów pierwszy znany nam ze źródeł historycznych występ dziejowy Mieszki w roku 963 (starcie z Wichmanem), jest następstwem tego, iż w oparciu o odziedziczoną podstawę terytorialną i ludnościową, książę na Gnieźnie dąży do rozszerzenia swego państwa na ziemie Pomorza Nadodrzańskiego. Dla osiągnięcia tego celu poświęcił szereg lat, obfitujących w działania wojenne skoordynowane z politycznymi. W roku 990 rozszerza też swe władztwo na Śląsk. Wreszcie efektem wieńczącym to dzieło budowy terytorialnej państwa polskiego w jego etnicznych granicach odpowiadających mniej więcej dorzeczu Odry i Wisły — najprawdopodobniej pośmiertnym — jest przyłączenie do Polski Krakowa i Sandomierza.

Przy tym Mieszko prowadzi nie tylko dzieło jednoczenia. Wysiłkom ekspansywnym podejmowanym w tym celu, towarzyszą zabiegi mające za cel trwałe zabezpieczenie efektów akcji jednoczących na międzynarodowym forum ówczesnego świata.

Zabiegi te świadczą o dużym kunszcie strategicznym i taktycznym polityka, zadokumentowanym m. in. poprzez próby usunięcia tych niebezpieczeństw, jakie niosło ze sobą sąsiedztwo polsko-niemieckie. Sąsiedztwo to stawało się coraz ważniejszym czynnikiem politycznym zarówno w efekcie mieszkowej akcji jednoczącej po Odre, jak i w następstwie jednoczesnego docierania ku tej rzece forpocz. „Drang nach Osten”.

To prawda — niebezpieczeństwa owego nowego sąsiedztwa, nie mogły być przez Mieszkę dostrzegane jeszcze tak jak my je widzimy z perspektywy tysiącleci doświadczeń historycznych. Już współczesne doświadczenia innych — to co działało się właśnie między Łubą a Odrą — mogło być dostatecznie silnym ostrzeżeniem dla Mieszki. Strategiczną mądrość Mieszki zdaje się przesądzać już ten fakt, iż niemal od razu przyjmuje zasadę aktywnego przeciwdziałania. Nie ogranicza się do wiary w każdorazową skuteczność doradczego chwytania w razie potrzeby za miecz. Przechoodzi do stosowania aktywnej, gietkiej polityki, której celem — właśnie poprzez zweryfikowanie jego władztwa przez chrześcijański Zachód — jest rozgraniczenie wpływów polskich i niemieckich na obszarze zachodniosłowiańskim. Przyjmując chrześcijaństwo — bez czego nie można uprawiać aktywnej polityki w systemie ówczesnego świata, zostawczy „przyjacielem” cesarzem — doprowadza do uznania pozycji państwa polskiego w sferze wpływów Cesarstwa na Wschodzie. Dzięki temu odnosi swoje zwycięstwa na własnym terytorium ekspansji i uzyskuje wpływy na Cesarstwo — przygotowuje swemu synowi Bolesławowi Chrobremu jego pozycję suwerennego już władcy.

MARIUSZ OLSZEWSKI

Bitwy budziszyńskiej akt pierwszy

Dokończenie ze str. 1

początkach kwietnia, pod wpływem fałszywych ocen wywiadowczej służby Gehlena, iż celem działań radzieckich będzie nie Berlin, lecz Praga, jego Grupa Armii „Srodek”, została wzmocniona trzema dywizjami pancernymi, zabranymi z bezpośredniego przedpola Berlina. Teraz też w rejonie na północny zachód od Zgorzelca, feldmarszałek ześrodkowuje pośpiesznie silne zgrupowanie uderzeniowe, którego trzon stanowią 20 i 21 dywizja pancerna oraz 17 i 72 dywizja piechoty. Ponadto liczy na te, niemałe siły 4 armii (m. in.: 1 pułk strzelców dywizji grenadierów pancernych „Brandenburg”, 1244 pułk grenadierów pancernych oraz jednostki 615 dywizji do zadań specjalnych), które tkwią jeszcze w rejonie Reichwalde, pomiędzy obchodzącymi je od północy wojskami 5 armii gwardii, zaś od południa polskiej 2 armii.

Plan Schoenera: w pierwszej fazie kontrofensywy, zbieżnymi, jednocześnie zadanymi ciosami — głównego zgrupowania uderzeniowego ku północy i otoczonych sił na południe — odciąć polskie i radzieckie wojska, które opanowały już Budziszyn i pra na Drezn... Skoro zaś dzięki przewadze własnych sił, dokonany zostanie błyskawiczny pogrom okrążonych wojsk przeciwnika (głównie „przeklętych Polaków”), zostaną stworzone warunki do tego, by, kontynuując natarcie, tnąc z kolei tyły radzieckich wojsk, nakierowanych na Berlin, wypełnić rozkaz Hitlera.

Po południu, 21 kwietnia (56 rocznica urodzin Hitlera), schoenerowska grupa północna uderza pomiędzy polskie dywizje piechoty: działającą w rejonie Kreba i 10 walczącą pod Boxbergiem. Zdobywa Klitten i Gutfau. Sztab oraz oddziały specjalne naszej 5 dywizji piechoty, muszą wycofać się z Tau-

er do Foerstgen, gdzie właśnie przygotowuje sprzęt do dalszych działań polska 16 brygada pancerna (bezpośredniego wsparcia piechoty).

Jednocześnie natarcie 20 dywizji pancerniej na Nyski, załamuje się. Lecz bardziej na zachód, pomiędzy Diehsa i Krechwitz, pozostałym siłom głównego zgrupowania uderzeniowego, udaje się, po ciężkich walkach, przełamać słabe ubezpieczenia radzieckie. Dwa ramiona kleszczy, nakierowane na Dauben, zbliżają się do siebie na niewielką, za ledwie kilkukilometrową, odległość.

A jednak następnego dnia nie mogą się zewrzeć. Przeszkadzają m. in. owe dwa bataliony 16 brygady. Polscy czołgiści, oskrzydleni i atakowani od północy i południa — od zachodu i wschodu — zamknęli się mokradłami. Ich wyłamanie się z pułapki wraz ze sprzętem — jest niemożliwe. Mimo to, nie porzucają czołgów. Organizują obronę okrężną w rejonie Dauben i Weigersdorf. Chcą przynajmniej ułatwić wyjście z okrążenia oddziałom 5 dywizji oraz własnym rannym.

Podczas tych walk ginie na czele

jednej z przebijających się grup, dowódca 5 dywizji piechoty, gen. Waszkiewicz. 16 brygada pancerna traci 50 procent swego stanu osobowego, niemal wszystkie czołgi obu tych batalionów oraz ciężką broń piechoty zmotoryzowanej i baterii przeciwlotniczej. Ale, kiedy około północy, zostaje rozbita pancerfaustem ostatni z polskich T-34, reszta obrońców przebiega się wraz z rannymi ze sztandarem brygady, z okrańczenia.

Co ważniejsze zaś — zacięty opór tak niewielkich sił polskich, na okres doby zahamował pochód na północ głównych sił uderzeniowych feldmarszałka Schoenera. Dopiero rankiem, 23 kwietnia, udaje się połączyć obu zgrupowaniom hitlerowskim. I choć, tym samym, zostały rozcięte siły 2 armii LWP, choć nawet 24 kwietnia, wierzchołek klina niemieckiego włamania sięga, położonej o 23 kilometry na północ od Budziszyna, miejscowości Lohsa — owa doba, odebrana czterem dywizjom niemieckim przez jedną polską brygadę pancerną — została wykorzystana przez generała Swierczewskiego dla zorganizowania obrony.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI



Oddziały 2 armii LWP podczas defilady w Poznaniu w drodze na front pod Budziszynem.

Zdjęcie archiwalne